



Adam Cebula "W obliczeniach tkwi błąd"

nimfa bagienna



Foto: Adam Cebula

A może by tak przyjąć ryzykowną i ekstrawagancką tezę, że książki fantastyczne nie opisują przygód zielonych marsjańskich ficoludków z wielkimi blasterami? Kto wie, może warto się nad tym zastanowić? Adam Cebula zastanawia się już od dawna.

Dobrze jest wskazać, od czego zaczęło się rozmyślanie nad jakimś tekstem, co go wywołało. Tak mógłbym zrobić i w tym wypadku. Gdzieś w sieci mignęło mi „jałowe rozważania technologiczne”. Chodziło o recenzję jakiegoś bardziej ambitnego utworu, i o to, by mu przywalić. Bynajmniej jednak, jeśli mam być uczciwy, nie ten fragment zdania był początkiem. Od kiedy interesuję się fantastyką naukową, musiałem się z tego usprawiedliwiać przed różnymi ludźmi. Od nauczycieli poczynając, na jakiś znajomych, nawet młodszych, o co coraz łatwiej, kończąc. Fantastyka, zwłaszcza SF, jest poniekąd nawet synonimem kiepskiej literatury, czytanie jej i interesowanie się nią – czymś niewłaściwym, zaś przyznawanie się do jakiejś fascynacji gatunkiem w pewnych kręgach dyskwalifikuje człowieka jako intelektualnie równorzędnego partnera. To infantylna, wstydliva skłonność. Właściwa jest Wielka Literatura.

Obecnie już się tego tak bardzo nie odczuwa. Tak zwanemu głównemu nurtowi po głowie mocno dał rynek. Można powiedzieć, że młodszy niż ja być może nawet nie dostrzegają tego deprecjonowania fantastyki. Zjawisko utonęło w bagienku znacznie poważniejszych problemów, w tym totalnego upadku czytelnictwa. Tym niemniej, jeśli ktoś uważnie nadstawi ucha, a zwłaszcza gdy pogrzebie w starszej publicystyce, łatwo to dostrzeże. Mała próba zmierzenia, że coś jest na rzeczy: przejrzyjmy nazwiska laureatów poważanych nagród literackich. Ilu znajdziemy tam fantastyków? Tak, Doris Lessing dostała Nobla, lecz zauważmy, że w notce biograficznej w Wikipedii napisano tak: „Kilka jej książek należy do gatunku science fiction”. Brzmi to jak opowieść o osobliwości. Które to książki z zamieszczonej bibliografii, wyłowi tylko ktoś, kto je zna.

Problem postrzegania SF jako gorszego gatunku na dzień dzisiejszy już nie za bardzo istnieje z powodu takiego, że tak zwanej hard SF już, jak wszyscy wiedzą, praktycznie nie ma. Całkowicie zniknęła pewna forma wypowiedzi, którą pamiętam z dziecięcych lat, i której właściwie nie potrafię nazwać. To były chyba artykuły futurologiczne, w których próbowano opisywać świat za czas jakiś, zwykle dość odległy, by można było puścić wodze fantazji, i dość bliski, by miało to wszystko jeszcze jakieś znamiona prawdopodobieństwa. Były takie teksty w stylu „Warszawa w roku 2000”, gdzie prorokowano, jak będzie wyglądał transport, co się będzie produkowało, wróżono syntetyczne jedzenie, jakieś niezwykle ubrania, powszechne wycieczki na Księżyc i temu podobne cuda.

Przeminęło z wiatrem, i jeśli wraca, to w bardzo nieśmiałej formie.

Co fantastyce naukowej zarzucano? Mniej więcej chodziło o to, że zajmowanie się technologią uznawano za płytkie rozważania. No cóż tam, wymyślą ludzie raketę i polecą w kosmos, co to może być za powód do przemyśleń? Albo zbudują człekopodobnego robota... no i co z tego?

Pytania, owszem, cisnęły się drzwiami i oknami. Co my w tym kosmosie spotkamy? Czy mamy jakiś powód, by się tam pchać? Czy aby to na pewno posłannictwo ludzkości? A czy gdyby robot był człekopodobny, to od jakiego stopnia podobieństwa winniśmy go zacząć traktować jak człowieka? Można powiedzieć, że SF niosła ze sobą te wszystkie niepokoje, jakie w ludziach rodził widoczny gołym okiem postęp techniczny. Ale także do starych pytań dodawała nowy wymiar. Gdy w opowiadaniu Lema robot, który przetrwał katastrofę statku, wystukuje alfabetem Morse'a wezwania dawno zmarłych członków załogi, i gdy pilot Pirx tymi samymi sygnałami zdaje się nawiązywać z nimi kontakt, to scena ta jest chyba najbardziej przeraźliwym pytaniem o istnienie, o jaźń człowieka, jakie kiedykolwiek w literaturze padło.

Takich scen w niepoważnym pisaniu dla rozrywki dzieci i inteligencji technicznej (czyli tej gorszej) znajdziemy w SF mnóstwo. Często dopiero laboratorium wydumanego, ale bardzo prawdopodobnego świata wydobywa z nich coś, co można by nazwać „prawdziwą powagą”. W bibliotece zdarzeń, jaką dysponuje tak zwana klasyczna literatura, nie ma zagłady planet, wręcz planeta – w sensie naukowym – stanowi niedozwolone złamanie konwencji. Pytanie o całkowite zniszczenie, o konsekwencje wynalazków czy forsowania jakiś pomysłów wyłamują się zupełnie z nobliwej konwencji głównego nurtu. Takie problemy mieściły się tylko w tym sposobie pisania, który przynależał do młodszych albo niezbyt poważanych pisarzy. Stało się jednak bardzo szybko tak, że ludzie musieli zacząć myśleć o problemach w skali niepoważnej, paradoksalnie globalnej czy kosmicznej, i odpowiadać na kwestie, które zdawały się chwilę wcześniej problemami młodzieżowych dziennikarzy, jak choćby to, czy stawiać elektrownie jądrowe. Były to pytania ważne, takie, na które należało udzielać odpowiedzi już właśnie teraz. Fantastyka, można powiedzieć, szła krok przed publicystyką, która pisze najchętniej o katastrofach, które już się stały.

Dziś te zagadnienia weszły do kanonu problemów społecznych. To prawda, jednocześnie jednak można powiedzieć, że tak zwana poważna sztuka nie uporała się z nimi ani na jotę. A SF, niestety, jeśli dawała jakieś porady, to nie traktowano ich poważnie.

Dlaczego SF zniknęła? Przyczyn zapewne jest sporo, ale z pewnością jedną z najważniejszych jest, że gatunek ten jest diabło wymagający. Z jednej strony trzeba być niezłym w pisaniu, co już powoduje dramatyczny odsiew, a z drugiej, aby uprawiać coś lepszego niż szeroko rozumianą space operę, czystą rozrywkę, trzeba mieć w głowie wiele wiedzy ściślej. Siła SF nie tkwiła w fantastycznych, wydumanych sytuacjach, można powiedzieć, że nie w fantazji wypuszczonej na dzikie pola, po których swobodnie mogła sobie hulać, ale w krótkiej smyczy science, która ją zmuszała do zajmowania się obszarami rzeczywistych możliwości, rzeczywistych dróg rozwoju ludzkości. To nie fantazja, ale prawdopodobieństwo nadaje tym utworom mocy. Nie są one nam obojętne, bo opowiadają o tym, co właściwie już się dzieje.

W obliczeniach był błąd. To zdanie – moim zdaniem – znakomicie opowiada o przyczynach, mocy i kompletnej nieatrakcyjności SF dla niektórych. Znany z łamów Fahrenheita Ryś Krauze wyruszył na bezdroża filozofii polskiej i zmusił mnie do myślenia o tym, co na przykład się stało w XIX wieku, że powstała teoria względności? Otóż mogę... zabełkotać. Tak, kochani, ów wielki ferment intelektualny ma bardzo dobrze określone korzenie. Niestety matematyczne. Tak, w obliczeniach był błąd, nie dawało się przeprowadzić równań Maxwella za pomocą transformacji Galileusza do nowego układu współrzędnych układzie inercjalnym. Lorentz znalazł dziwną (https://pl.wikipedia.org/wiki/Transformacja_Lorentza) transformację, która zdawała się to załatwiać,

ale sens fizyczny tym rozważaniom nadał dopiero Albert Einstein. Ciekawe? Ciekawe w którym momencie czytelnik walczy mi linijką między uszy. Czy to będzie w okolicy czterowektorów, czy przy sinusie hiperbolicznym?

Nieszczęście polega na tym, że wiedza ścisła jest hermetyczna. Wymaga najpierw przebiccia się przynajmniej przez jakieś funkcje trygonometryczne, opanowanie elementów rachunku różniczkowego i całkowego przynajmniej na poziomie takim, by wiedzieć, co robią całka lub owa pochodna, wymaga pewnej erudycji w postaci znajomości problemów, jakie gnębią współczesną naukę.

Jest coś chyba jeszcze dużo brzydszego w tym obrazie: diabło ograniczone ambicje nauk ścisłych. Spotkaliście się z pytaniem, co to jest czas? Ileż to grubaśnych książek powstało na ten temat, ileż to głębokich dywagacji, jakaż to niezwykła tajemnica! Ależ fizyka zna bardzo dobrą odpowiedź na to pytanie, do tego niezwykle i praktyczną, i użyteczną. Wcale niepodszytą drwiną. Czas, to jest to, co mierzą zegary. Tak brzmi bardzo dobra odpowiedź. Kryje się za nią świadomość granic poznania. Sensowne rozważania mogą dotyczyć tylko tego, co daje się zmierzyć. Nawet takie byty, które z definicji są dla nas niewidzialne, jak czarna materia czy energia, mają sens jedynie dzięki temu, że w obliczeniach położenia gwiazd w galaktykach tkwi jakiś błąd i te byty go korygują. Mierzymy je właśnie w taki sposób.

Filozoficzne pytania typu „dlaczego działa grawitacja” owszem, są niepokojące, lecz fizyka daje odpowiedź jedynie, JAK działa. Jakbyśmy się nie kręcili wokół własnego ogona, nie zrobimy w tej materii kroku naprzód, być może zrobi go kiedyś jakiś geniusz, lecz w tym systemie, jaki mamy, nie da się wyjść poza budowanie modeli matematycznych, które przewidują wynik eksperymentu. Które mają się w rzeczy samej nijak do jej istoty, lecz są jedynie maszynką podającą wynik doświadczeń.

Moc i bryndza spojrzenia fantastyka naukowego na świat wynika właśnie z tego, że osobnik, który się w ten sposób światem zajmuje, z jednej strony stara się wykazać racje, szukając błędów w obliczeniach. To mniej więcej tak fascynujące, jak poszukiwanie brakującej sumy w kwartalnym bilansie. Z drugiej strony tylko takie postępowanie daje szansę na znalezienie manka. Żadne inne.

Tylko fantasta, miłośnik przygód pilota Pirxa, potrafi docenić wkład technologii w nasze codzienne życie. Dzięki sieci nawet płomienne romanse mają zupełnie technologiczny przebieg, bo dziś trudno znaleźć kochanków, którzy nie komunikują się przez sieć, telefony komórkowe, nie wymieniają SMS-ami, nie przesyłają sobie zdjęć. Niekoniecznie intymnych, ale i ta moda wynika z tego, że weszła w codzienne życie technologia, którą w „Zabójcach szatana” Andrzej Ziemiański i Drzewiński obdarowywali jedynie najbardziej wyrafinowanych i najbardziej tajnych agentów.

Błąd w obliczeniach, od których zaczyna się akcja powieści „Eden”, polegał na tym, że nie były one dość drobiazgowo, nie uwzględniały pewnego zjawiska. Oto i kolejna cecha, która powoduje totalną nieatrakcyjność twardej fantastyki, jednocześnie daje rzeczywistą moc „fantastycznemu spojrzeniu”. Patrzymy na nasz świat poprzez technologie, ale na skutek tego i – jeszcze na nieszczęsny dodatek – drobiazgowo. Ileż razy pisałem, że dopiero przyglądając się niemal z lupą w ręce przeróżnym z pozoru nieznaczącym zjawiskom, można dojść do globalnych wniosków.

Prosty przykład: wchodzę do sklepu. Drzwi zamknięte, bo ciężko pracuje klima, a w kącie lada chłodnicza dmucha gorącym, które ta klima musi wytransportować na zewnątrz. No i wniosek: na ten przykład namiętna walka z globalnym ociepleniem w perspektywie tego widoku jawi się po prostu ściemą. Wynika on z mojej wiedzy o tym, jak łatwo byłoby pomóc i owym heroicznym zmaganiom, i kieszeni właściciela sklepu. Wystarczyłoby rozwiązanie, które miały stare lada chłodnicze, czyli możliwość wodnego chłodzenia. Niewielka pompa, trochę rur, i lada chłodnicza, zamiast nagrzewać pomieszczenie, mogłaby wspierać pracującą resztką sił klimę. Być może

produkowane ciepło dałoby się użyć do podniesienia temperatury ciepłej wody, którą trzeba nagrzewać, spalając różne paliwa, zużywalibyśmy mniej prądu i... zmalałaby jego sprzedaż w krajowym czy kontynentalnym wymiarze.

Właściciel płaciłby mniej za prąd, kupiłby mniejszą instalację klimatyzacyjną, rzadziej wołałby serwis, bo i lada, i klima nie włączałyby się tak często, a i nie daj Panie Boziu, właściciel budynku zarobiłby jeszcze na owej podgrzanej wodzie... Jeden look technokraty zaprzędanego magii obliczeń i wystarczającej dla rozwiązania problemu drobiazgowości, a mamy wnioski ocierające się o czarną flagę anarchistów.

Technokrata, miłośnik marnej literatury SF i niegodnych humanisty ciekawostek, przez swoją ograniczoną erudycyjność widzi, że szereg rozwiązań ponoć dramatycznych problemów mamy w zasięgu ręki. Niestety ze swoimi argumentami trafi jedynie do innego fana techniki i „Rakietowych szlaków”, który będzie miał w głowie dość wiedzy o termodynamice, by docenić silnik Stirlinga, i zgodnie popuka się w czoło na widok samochodzika na baterijki.

Tylko drugi miłośnik przygód nieustraszonych astronautów, wszelako znający przy okazji elementy teorii katastrof, lub potrafiący nieco za pomocą równań różniczkowych opisać różne układy, zrozumie, że przeróżne absurdalne zjawiska w naszym świecie nie są, co byłoby błogosławieństwem, efektem działania jakiegoś światowego spisku, ale własnością kiepsko skonstruowanego systemu zarządzania, który ma własność taką, że sam z siebie prowadzi do nieszczęścia.

Podejrzewam, że jedynie zakochani w nastrojach SF, w owych wizjach Warszawy po roku 2000, są dostrzec – można by rzec – głęboko humanistyczne zjawisko, określane jako szok przyszłości, które starałem się opisać w czymś, co może jest felietonem o tytule „Katastrofa poza horyzontem marzeń”. Polega to na tym, że ludzie dostają do rąk świetne urządzenia, takie, o których – jak ja w młodości – nawet nie marzyli, które spełniają w danej kategorii wszelkie życzenia i... nic z tego nie wynika. Pisałem o fotografii, lecz zapewne dużo bardziej spektakularnym przykładem jest informatyka. Rozwój Internetu przerósł wszelkie marzenia. To, że mamy ściganie ludzi za „udostępnianie treści”, jest najlepszym dowodem na to, że moc globalnej biblioteki przerosła nasze wszelkie wyobrażenia i marzenia. Dla wielu stała się ona katastrofą, często najbardziej realną, w postaci widma bankructwa. Marzenia właścicieli wielu firm informatycznych nie zawierały takiego Internetu i takiej powszechności. Dziś już może poszły w zapomnienie wściekle słowa szefa Microsoftu Steve’a Ballmera, wygłaszane pod adresem twórców Linuksa. W najczarniejszych wizjach pewnie się nie zmieściłoby, że Internet stworzy największą i najsprawniejszą na świecie grupę programistów.

Została dana nam w ręce piekielna moc – między innymi poznawcza i produkcyjna – która jest ogromnym dobrodziejstwem. Jednak z racji braku pomysłów, co można z nią robić, przedstawia się nam ona jako ogromne zagrożenie. Jeśli się dziś pisze o Internecie, to prawie wyłącznie w kontekście niebezpieczeństw, opisuje się go jako siedlisko ciemnych mocy, a jedynie na marginesie czasami się wspomina, że na ten przykład da się w nim znaleźć wszystkie znaczące dzieła, jakie ludzkość stworzyła, że umożliwia znalezienie i zakup tak egzotycznych produktów, jak kasety do aparatów wielkoformatowych, że dzięki choćby owemu internetowemu handlowi mogą funkcjonować egzotyczne grupy zainteresowań, że da się w nim znaleźć na przykład zdjęcia z wsi Przedborowa sprzed wieku i tym sposobem poszerzyć swoją wiedzę, czy wyczytać, jak funkcjonował zapomniany układ scalony i uruchomić urządzenia, które inaczej trzeba by już wywalić do śmieci.

To wygląda tak, jak z karmieniem dziecka: technologia podsuwa nam na łyżeczce niezwykle smakołyki, a my się odwracamy i wykręcamy. Wygląda na to, że te wszystkie cuda, które już są, dawno przekroczyły nasze możliwości ich zagospodarowania. Przeczytałem o tym, że Polska ląduje gdzieś na odległych miejscach, jeśli chodzi o szybkość przesyłową Internetu. Jak się okazuje, niewielka część mieszkańców naszego kraju, ku ubolewaniu autorów tej informacji, ma dostęp do

łączy o przepustowości ponad 9 MB/sek. Ja mam dużo mniej i, mówiąc szczerze, nie wiem, co zrobić z tą przepustowością. Między innymi dlatego, że na przykład potrzebuję ściągnąć z Internetu schemat aplikacyjny układu scalonego, albo ofertę ze sklepu internetowego, i to są jakieś dziesiątki kilobajtów, żadne megabajty, tym bardziej na sekundę. Tym bardziej nie potrzebuję oglądać filmów instruktażowych, jak wykonać jakąś czynność, ale solidnego opisu tejże. Tekstem zapisanym alfabetem łacińskim. Albo cyrylicą, też damy radę.

Pomysły na użycie owych piekielnych mocy Internetu są durne, że głowa boli. Właśnie taki, że jeśli chcesz uruchomić tryb wideo w Debianie, masz na YouTube filmik, jak to się. Ale oczywiście nie możesz go uruchomić, gdy ci właśnie czegoś brakuje.

Dlaczego tak jest? Pisałem o tym w tym felietonie „Katastrofa poza horyzontem marzeń”. Nie mamy potrzeb, nie mamy marzeń, jakby mogłoby być, gdyby parametry jakiś urządzeń zostały poprawione. Nasze głowy nie są przygotowane na to coś lepszego, co przynosi technologia. Banalny przykład z dziedziny fotografii. Aparaty mają dziś niesamowite czułości, a fotografowie starają się wymyślić powody, dlaczego tych zakresów nie wolno używać. To prawda, na tych skrajnych czułościach aparaty szumią, ale za tak zwanych dawnych czasów był taki sport ekstremalny o nazwie przewoływanie filmów na najwyższe na tamte czasy czułości. W tamtych dawnych czasach, gdy to było trudne, jakoś nie było wybrzydzenia, że efektem magicznych zabiegów jest monstrualne ziarno, ba, zdjęcia uzyskane w ten sposób były uznawane za szczególnie interesujące. Bo z powodu owego ziarna, które demolowało skutecznie obraz, zostawało więcej dla wyobraźni.

Technologia dała owej czułości za dużo, fotografom jakoś nie przybyło fantazji, nie staje im jej na wymyślenie, jak z szumu uczynić zaletę obrazu, więc wymyślają, jak już pisałem, „użyteczne ISO”, aby tej czułości nie było za wiele. Bo nie wiemy ani co zrobić z zasobami Internetu, ani gdzie jeździć samochodami z prędkościami, jakie mogą osiągnąć, przejadamy się aż do zagrożenia życia, że trzeba wprowadzać tabletki powodujące niestrawność, mamy takie mnóstwo kanałów telewizyjnych, że nie ma dość redakcji, by zapełniła je czymkolwiek sensownym. Za dużo, za łatwo, za tanio, za dobrze zamiast radości rodzi strach. A co gorzej, ślepy bunt przeciw nowoczesności.

Tylko fantastyka naukowa jakoś radziła sobie z tym społecznym zjawiskiem. Niestety, musimy to zastrzec: porządna SF, pisana przez kogoś, kto ma dość oleju w głowie, by rozumieć, co się dzieje w nauce i technice, rozumieć prawdziwe zagrożenia, jednocześnie wiedzieć, co jest jedynie fobią przed nowością. Takiego pisarza, który wie, jakie mogą być naprawdę korzyści, gdzie są szanse i jak je można wyzyskać. Fantastyka z jej wirtualnym światem przyszłości pozwalała zajrzeć w te możliwości, które przyjdą z przełamaniem barier technologicznych, pozwalała kształtować sensowne oczekiwania, ale i przygotować na zagrożenia, nim one przyjdą.

Dawało to potężnego kopniaka do przodu może niewielkie grupce miłośników naiwnej literatury, ale – moim zdaniem – towarzystwu zupełnie niezbędnemu dla prawidłowego i szybkiego wzrostu poziomu umysłowego społeczeństwa. Dziś jakoś trudno sobie wyobrazić pasjonatów, którzy dla czystej przyjemności bardziej precyzyjnego marzenia o kosmosie zgłębiali tajniki rozwiązywania równań różniczkowych, bo pozwalały prognozować zachowanie różnych napędów rakietowych.

Literatura – nawet wbrew zdawało by się oczywistemu posłannictwu SF, którą zdaje się przyszłość – zawsze zajmuje się najbardziej (czy „w istocie”) teraźniejszością, dniem dzisiejszym. Dobra literatura jest sposobem na zrozumienie tego co się albo dzieje, albo co się stało. Pokazuje prawdziwe mechanizmy, zależności, proporcje i dzięki temu pozwala poukładać naszą wiedzę o tym świecie tak, że... potrafimy prawidłowo przewidzieć skutki czegoś, co się dzieje. No niestety, wróciłem do filozofii nauki, jedyna definicja prawdy, posiadanie modelu, bardzo przykro ale matematycznego, który pozwala przewidzieć, co się stanie.

Padło słowo „proporcje”. Trzeba powiedzieć jeszcze raz: jedynie SF zajmuje się poważnie technologią, prowadzi owe „jałowe rozważania technologiczne”. A technologia to najważniejszy czynnik kształtujący naszą codzienność. Ależ tak! Jak opisujemy drogę ludzkości ku wspaniałej współczesności? Najpierw była epoka kamienia łupanego. Dziś już wiemy, że technologia wyłupywania na przestrzeni tysiącleci ciągle szła do przodu. Z bryły obsydianu o tej samej masie kolejne pokolenia uzyskiwały coraz więcej ostrzy, potrafiły wykonywać coraz bardziej precyzyjne narzędzia, od skrobaków po finezyjne ostrza strzał. A po kamieniu łupanym pojawił się gładzony, pewnie gdzieś w tym samym przedziale czasowym nastąpił dramatyczny przełom w kulturze materialnej: nauczyliśmy się wytapiać brąz. Po nim przyszła epoka żelaza, czyli opanowano technologię dymarkową, i tak ludzkość kroczyła aż do epoki pary, węgla, potem elektryczności. Czy dziś mamy erę Internetu? Nie wiem, jak to zostanie nazwane, ale jeśli chcemy poważnie zająć się tym, jak ludzie dziś żyją, jak się uczą, jak docierają do literatury, do malarstwa, innych wytworów sztuki, jak flirtują, ogłaszają swoją twórczość, to oczywiście musimy mówić o tym medium. A w szerszym ujęciu: jeśli nie mamy pomysłu zamulania głowy czytelnika, tylko chcemy mówić mu rzeczy ważne, musimy się zająć technologią. Owymi jałowymi rozważaniami technologicznymi, nudnymi, pozbawionymi ludzkiego pierwiastka, na dodatek drobiazgowymi niczym ów bilans kwartalny. Tylko SF była w stanie we właściwych proporcjach unieść problemy, jakie niesie ze sobą przejście od wytopu brązu do żelaza.

Bez technologii owszem, da się tworzyć może i zajmujące, i tchnące głębokim humanizmem dzieła; książki, które pochłoną wytrawnych znawców literatury, które pozwolą wnikać w istotę jakiś rzeczy, odpowiedzą na pytania albo je zadadzą, ale które będą jedynie rozrywką. Nie dadzą nam takiego obrazu świata, takiego porządku, który pozwoli na banalne przewidzenie, co się stanie. Mówiąc krótko, wymijając to płytkie spojrzenie poprzez technikę i nauki ściśle świadomie rezygnujące ze stawiania zasadniczych dla filozofa pytań, nie opowiemy żadnej prawdy o świecie.

Skąd naprawdę wziął się ten tekst? Cóż, Fahrenheitowi niepostrzeżenie stuknęło osiemnaście lat. To poważny wiek jak na efemeryczne i chimeryczne byty internetowe. Przypomniałem sobie, że jak się zaczynała ta przygoda, to wydawało mi się, że trzeba jeszcze walczyć o istnienie SF. Dziś mogę się jedynie zastanawiać, co fantastyka naukowa wniosła, jaka mogła być, wspominać ewentualnie zastanawiać się, czemu zniknęła.

Mam wrażenie, że prócz znanych słabości, historycznych uwarunkowań, powiedzmy sobie szczerze, pewnie założonej wręcz literackiej śmieszności gatunku, było coś zamierzonego. Wielu ludzi wykalkulowało sobie zbędność istnienia tej literatury zajmującej się człowiekiem zanurzonych w technice. Pisarze, mam wrażenie, celowali na takie trajektorie swej kariery, które albo wyprowadzą ich z tego zaułka na szerokie wody Wielkiej Literatury, albo wręcz przeciwnie, ku fantasy, znacznie mniej wymagającej, przynajmniej jeśli chodzi o ścisłą wiedzę. Krytycy, wszelkiej maści książęta kultury, szacowali z radością moment, gdy to zdechnie, bo powiedzmy szczerze, trafiali na utwory choćby Lema, których nie rozumieli. Gdy ktoś tworzył zgodnie z definicją zabawki dla inżynierów, to intelektualista humanistyczny, nietechniczny, nie potrafił się nimi bawić. Były dla niego czymś groźnym, jak deskorolka dla starszego pana. Czytelnicy, zwłaszcza biorąc się za ambitniejsze pozycje, często przeszacowywali swoje możliwości, pusta rozrywka okazywał się dla nich za trudna. Mam wrażenie, że ludzie, gdy owa fantastyka jeszcze była, z góry kalkulowali, że to się zmieni w coś innego, w fantastykę socjologiczną, w jakieś bajki robotów, w coś innego, co nie jest irytującymi opowieściami o technice.

Gdy rozglądam się dziś po świecie, czytam, patrzę, co ludzi robią, piszą, czytają, o czym marzą, mam wrażenie, że brakuje im zrozumienia tej rzeczywistości, którą sami tworzą. Dlaczego? Bo w tych kalkulacjach zbędności SF, w tych obliczeniach, był błąd. Spadliśmy na Eden i jak grupa rozbitków z powieści z wielkimi oczami obserwujemy, co się wokół nas dzieje, i bezskutecznie próbujemy to zrozumieć.

Adam Cebula